

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 18 grudnia 1909 r.

№ 51.

Wacław Gąsiorowski.

## EMILIA PLATER.

38

Powieść historyczna.

Hrabianka, bacząc na niedostatek amunicji, postanowiła od razu do ataku przystąpić. Kawalerya już sformowała się, już Stęgwilłowie, wiodący kosynierów, ostatnie odebrali rozkazy. jak mają pod osłoną szarzy runąć na piechotę Litwinowa, gdy naraz środkowe plutony rosyjskie otwały się... dwie paszcze armatnie błysnęły i, nim ryknęły, już kartaczami omiotły kurhan, już krwią go zbluzgały.

Huk armat zmieszał powstańców. Hrabianka atoli zdołała ich skłonić do wytrwania na pozycji. Ale nie na długo. Piechota bowiem rotowemi salwami raziała, kartaczownicice pluły żelazem, coraz straszniejsze wyzerając rany, a ogień strzelców powstańskich milkł, słabł, rzedniał...

Aż po chwili kurhan ogłuchł... jeszcze szukał w ładownicach, jeszcze lufami strzelb groził, aż opuścił broń i jęknął rozpaczliwie.

Hrabianka rzuciła się ze sztandarem ku kosynierom. Pan Godaczewski usiłował z Buchowiczem kawaleryę dzwignąć. Lecz Litwinow poczuł swą przewagę. Salwy gwałtowniej, bliżej trzaskały, kartaczownicice pracowały bez spoczynienia.

Kosynierzy, zagrzani widokiem Emilii, porwali się do ataku. Sztandar szedł przed nimi, darł się na przód, łopotał hardo, nie bacząc na

poświst kul... aż naraz został sam pośród kłębow dymu, pośród zawałów skotłowanych ciał ludzkich...

### XIII.

W ciągu dwóch tygodni, po szalonym ataku Gruzewskiego na Rosienie, powstanie ogarnęło całą Litwę ze Żmudzią i Inflantami—w ciągu miesiąca niespełna urosło na potęgę, która nie tylko ważyła się w miasteczkach powiatowych osaczać zgoła mocne załogi, nie tylko w otwartym polu mierzyć się z karnym, zaopatrzonym dobrze a liczniejszym żołnierzem, ale już zbierała się na opasanie i zdobycie Wilna.

Zanim przerażeni, zdziśiatkowani dowódcy posterunków rosyjskich zdołali na alarm uderzyć, zanim hiobowe wieści dosięgnęły sztabów, gubernatorów, naczelników dywizji, powstanie już dzwignęło Szawle, Telsze, Kroże, Wiłkomierz, już targnęło posadami Kowna, już ozwało się i w Kiejdanach i w Dziśnie.

Onufry Jacewicz szedł na zdobywanie Połagi, Gasztowtt na Bejsaogę, w brasławskim panował Pruszek, w zawilejskiem Bortkiewicz z Piotuchami Kublickimi, Szukszta z Prozorem Maryampolowi dyktatorzyli, Ogiński Trokom, Załuski Upicie, Retów podawał dłonie

Poniewierzowi, Święciany Szukdom, Oszmiana Wilejce.

Generalizacya rosyjska jęła co tchu słać kolumny wojska na zgazszenie powstania, na ratowanie szczątków uchodzących garnizonów.

Wojsko ruszyło zewsząd. Więc generał Pahlen z pod Rygi, Meyer od Mitawy, Nabokow z Jakobsztatu, Rënenkampf od Libawy, Sulima, Offenberga i Malinowski od Niemna, Chiłkow z Wilna, Kabłukow z Dyneburga, a Bartolomey z za pruskiej granicy, za którą był się schronił. Wojsko ruszyło, i nie wojsko tylko, bo i bandy burłaków, podjudzone przez kurlandzkich baronów, i chmary kozactwa, zaprawionego na okropnych rozprawach w Kabardzie, i straszniejsza od nich cholera.

Powstańcy się nie ulękli. Walczyli na wszystkich punktach naraz, od Dźwiny po Bałtyk, od Szawli do Białowieży. Po dwakroć dobywali Wiłkomierza; wyparci zeń ponownie, rozpędzeni, znów się formowali, a po tygodniu, dwóch, znów w Wiłkomierzu zatykali orła z pogonią. Zgnieceni, w pień wycięci, jawili się, niby Piotrowiny, zbierali i znów szli, znów zwyciężali, znów marli.

Ziemie zaniemeńskie spowiły się łunami pożarów, wzniecanych na pokazanie miast i wsi. Oszmiana pławiła się we krwi. Połaga, Upita, Szawle, Telsze, Rosienie, zamieniły się w pogorzelska.

Powstańcy, mimo wszystko, trwali. Tam, gdzie dzwonów nie starczyło na lanie armat, gdzie nie można było, jak w Worniach, zało-

żyć ludwisarni, tam z wiekowych dębów je budowano. Za trzecim nieraz wystrzałem z takiego działa ogniomistrz padał rozszarpany eksplozją, ale padał świadom, że dwoma pierwszemi wyżał krwawą ranę w kolumnie nieprzyjacielskiej. Proch, i amunicję zdobywano garściami. Powstańcy w jaszczkach rosyjskich mieli swoje magazyny.

Duch mocny, hardy był na Litwie i wiara w zwycięstwo niezachwiana.

Teraz bo aż się zaroilo od do- brych wieści, zapowiadających rychłe wyzwolenie. Toć podobno okręty angielskie, bronią co przedniejszą ładowne, pędziły Bałtykiem, Francya gotowała odsiecz, a Turcya, ta niezawodna przyjaciółka, ostateczne wyprawiła posły Petersburgowi. Ba, nawet mość pruska coraz grzeczniej myślała, bo co który emisaryusz do Królewca albo i Tylży dotarł, to mu sam koman- dant ręce wyściskał, z przyjaźnią się oświadczył, a prochu pozwolił nakupić, ile chciał. Coś drogi okrutnie był ten proch pruski, bo na dziesięć na wagę złota opłaconych transportów jeden zaledwie potrafił ustrzedz się czatującej nań na granicy zasadzce, — ale trudno było łaskawości pruskiej negocować.

Wieści te radowały powstań- ców, lecz krzepiły inne i bliższe, serdeczniejsze. Wieści te bowiem mówiły ludowi o dziewicy-rycerzu, który nad Dźwiną srogie odniósł zwycięstwo; mówiły o pięknym po- wstańcu-bohaterze, o twarzy aniel- skiej, powalającym wrogów jednym spojrzeniem; mówiły o męstwie, poświęceniu, samozaparciu, wiel- kiem doświadczeniu bitewnem hra- bianki Emilii Platerówny.

Ten mocny duch, ożywiający powstańców sprawił, że imć pan Karol Załuski, po nieudanym ru- chu na opanowanie Wilna i prze- prawieniu się na prawy brzeg Wilii, nie stracił fantazyi. Co nielada było hartem, bacząc, że w Szado- wie same niepomyślne raporty nań spadły, Prozor, po zajadłej bitwie pod Kiejdanami ledwie z gar- stką ocalał, generał Nabokow opa- nował Birże, Renenkampf Połagę, Meyer Linkowo, Pahlen zagarnął

połowę telszewskiego powiatu, Szyr- man okopuje się w Szawlach, a w o- statku, że generałowie Sulima, Olfenberg i Malinowski z dywizją piechoty, brygadą jazdy, baterią artyleryi pieszej i dwiema armatami konnej idą na Poniewież.

Załuski na ten koniec nakazał oddziałom dążenie do Smilg, sam zaś zatrwożony rozpaczliwem pi- smem komendanta placu w Ponie- wieżu, Januszewicza, o wynikłych tam rozruchach, podążył samotrzeć do Poniewieża, wzywając Kordzi- kowskiego, aby dążył za nim w trzy- sta ludzi.

Naczelnik upicki a wyprawy na Wilno dowódca w samą porę Poniewieża dosięgnął. Tu bowiem do grasującej cholery przyłączyła się krnąbrność i złość. Okrzyk „zdrada“ padł między młodzież po- wstańską, odtrącił dowódców i krwawy zebrał trybunał. Poszlaki były silne, osobliwie na żydów i kilku burłaków. Trybunałowi star- czyło poszlak. Wyrok zapadł, szu- bienice jęto stawiać. Załuski ledwie że zdążył przy pomocy Kordzikow- skiego wyrwać skazańców strykom i Poniewież obstać placówkami.

Rebelia atoli bynajmniej nie dała za wygranę—i gdy paktowa- niem nie potrafiła zniewolić Zału- skiego do ustępstw, otwartym za- groziła buntem. Poniewież zawrzał. Liczni między powstańcami pale- stranci utworzyli na poczekaniu kluby i klubiki, nawoływali do pro- cesowania dowódców o sprzenie- wierstwo, a, mimo patrole Kordzi- kowskiego, zachęcali motłoch do wypowiedzenia posłuszeństwa.

Załuski ze Straszewiczem i Tru- skowskim, dla zażegnania nieszczę- ścia, znów usiłowali się szalonych przekonać do karność—daremnie. Ci bowiem, nabrawszy zadufania, coraz śmiej stawili się Załuskie- mu.

Stąd łatwo sobie wystawić al- terację naczelnika upitskiego, gdy podczas tych spierań zameldowano mu przybycie hrabianki Emilii Pla- terówny! Jeszcze trzeba było do zamętu, aby ów wolontarz w spó- dnicy jawił mu się! Chyba na wzmożenie krnąbrności, na przy- kład lepszy, iż nawet panna ma

prawo chorągiewkę sobie sformo- wać i regimentarza udawać.

Załuski zachnął się, lecz wspo- mniawszy na zacność rodu, poha- mował się i Straszewiczowi polecił rozmówić się z hrabianką, a co naj- ważniejsze — odprawić ją co prędzej.

Straszewicz bardzo zgrabnie wywiązał się z zadania. A choć Emilia raz i drugi zmieszała go prostą a szlachetną odpowiedzią, choć rozbroiła, a przecież odgadął szczęśliwie rozkaz Załuskiego i wraz z komplementem dla hrabianki rzecz zakończył oświadczeniem, iż naczelnik upitski nie ma dla niej szarży, a na przyjęcie hrabianki do szeregu zgodzić się nie może, bo nie ma ani sił, ani środków, by ją uchronić przed setkami przykro- ści, wynikających z przymusu obco- wania z prostytutkami.

Hrabianka usiłowała jeszcze odezwać się, odeprzeć wywody, lecz Straszewicz znów komplemen- tami sypnął i, wykręciwszy się na pięcie, pozostawił Emilię samą.

Hrabiankę gorycz zdjęła. Od tygodni darta się do Załuskiego, od tygodni żyła imieniem naczelnika upitskiego—i na to, aby ją tu od- trącono.

Emilia wyszła z dworku Zału- skiego na miasto i skierowała się ociężale ku lepiance na skraju, kędy była zostawiła chorą Anetkę Pró- szyńską pod opieką Półnosa.

Lecz tuż przed lepianką mocy jej zabrakło na rozpowiedzenie przyjęcia, które ją spotkało, więc usiadła na kamieniu przydrożnym i pogrążyła się w bolesnej za- dumie.

Oto od trzech prawie tygodni tułała się, lasami się przedzierała, puszciami kluczyła, tak, od pamięt- nego pogromu za Jeziorosami, od chwili, gdy gromada kmieci wy- rwała ją przemocą bagnatom, gdy nie pozwoliła jej ledz! Wolej jej było umrzeć na tem strasznym po- bojowisku! Wolej było nie przeżyć tych nieszczęsnych tygodni... Z od- działu tysięcznego zostało się kilku- nastu zbiegów. Chcieli zostawać przy niej. Oparła się temu. Nie chciała więcej dowództwa. Odesłała ich Cezaremu.

DCN.

## MARZYCIEL.

48

Józio zaczął spacerować po peronie, zaglądał ze znajomymi do bufetu, rozmawiał z zawiadowcą, kłaniał się uroczyście paniom, które z powodu święta i pogody garniowały okna stacyi na każdy osobowy, mówił o czymś ze Soczkiem, powracającym do domu na obiad, przyglądał się nadzwyczajnym kufrom, wyładowywanym z pośpiesznego, kilka razy chodził za stacyę, prawie już w pole i, ukryty za budką dróżnika, odczytywał list Buczka; powracał i znowu kręcił się po stacyi, absolutnie nie wiedząc, co robi, o czym rozmawia i na co patrzy! Był tak opętany myślą wyjazdu, potężniejącą aż do kategorięcznego nakazu, że poruszał się automatycznie, głuchy już i ślepy na wszystko, co go otaczało. Nie burzył się już, nie walczył ze sobą, nie szarpał się, jak dawniej, w bezsilności, bo czuł tylko to jedno i wiedział tylko to jedno, że musi jechać, że musi rzucić wszystko i polecieć w świat, jak te ptaki, ciągnące wysoko, nie wiadomo skąd i nie wiadomo gdzie?...

— Choćby tylko na parę tygodni, choćby tylko odetchnąć innym powietrzem! — rozmarzał się słodko. — Tak, jutro podam się na urlop, pieniędzy pożyczę od Zuga i pojedę! Pojadę! — powtarzał z dziecienną radością, goniąc oczami dymy pociągów, wiszące nad lasami.

I naraz wszystko wydało mu się tak jasne, proste i niewątpliwe, że już się nie namyślając dłużej, pojechał do Zuga załatwić kwestyę pieniędzy.

Lichwiarz mieszkał na pierwszorzędnej ulicy, w nowym domu, tak starannie oblepionym sztukaterią, że wyglądał jakby przysłonięty brudnymi cycelesami. Józio bez wstrętu wszedł po straszliwie zabłoconych schodach i odważnie zadzwonił.

Uchyliła drzwi jakaś wyschnięta wiedźma w przekręconej peruce i ze złotymi manelami, opierającemi się aż na ramionach.

— Pan ma interes? Jaki interes? Pan z kolei? A może pan co

przyniósł? — zaskrzeczała podartym głosem, osłaniając ręką ucho obwisłe i podobne do skrzydła nietoperza.

— Muszę się zaraz widzieć z panem Zugiem! — powiedział tak stanowczo, że, chociaż niechętnie, wpuściła go do mieszkania.

— Za małą minutkę przyjdzie! — zapewniała, nie spuszczając go z oka.

Znalazł się w ogromnej, prawie ciemnej izbie, literalnie zapchanej przeróżnymi fantami; na ścianach wisiały zgodnie obok siebie miedziane rondle i zegary, lustra i strzelby, zakurzone obrazy i pęki rzemieni, a wysokie, sięgające sufitu półki, gdzieniegdzie porozstawiane, ugiwały się pod ciężarem tobołów; nawet podłogę zalegały spiętrzone stopy mebli, żelazne piecyki, wózki dzieciinne i kupy jakichś nierozpoznanych przedmiotów; pod okratowanym oknem, na stole, zarzuconym rupieciami, wygrzewał się w słońcu biały, wielki kot. Jakiś ohydny zapach — mieszanina cebuli, śledzi, brudu i skór, leżących w jednym kącie — przesycał powietrze.

W głębi mieszkania ktoś gwiżdżał zawzięcie.

Józio rozejrzał się uważnie i zaczął głaśkać kota, lubieżnie prężąc jego grzbiet.

Wszedł cicho młody, szczupły żyd wczarnym ałtasowym chałacie, podpasanym czerwoną chustką, na tyle głowy miał czarną aksamitną jarmułkę, złote kędzierzawe włosy i brodę, twarz długą, gęsto obsypaną piegami, nos haczykowaty, wązkie, bardzo czerwone usta, oczy okrągłe, bursztynowe, obwiezione czerwonymi powiekami, prawie bez rzęs i brwi. Szedł przygięty, trzymał w piegowatych rękach spodek, pełen herbaty, i chlifał z niego, jak kot, a w przerwach pogwizdywał, jakby zupełnie nie spostrzegając gościa.

— Mam do pana interes! — odezwał się Józio, nieco już zniecierpliwiony.

— Bardzo przepraszam, nie zauważyłem! Niech pan siada! Pan ma interes?

— Potrzebuję pieniędzy! — wyrzucił z ulgą, spoglądając w jastrzębie, złotawe oczy żyda.

— Kto nie potrzebuje? — Zasmiał się, popił herbaty i spacerował dalej. — Ile? — dodał po chwili.

— Pięćset rubli; naturalnie na spłaty miesięczne.

— Ładny grosz! Ewikya?..

— Jestem urzędnikiem na kolei. Miałby pan zabezpieczenie na pensyi.

Żyd przystanął, zadął głowę do góry i patrzył gdzieś w sufit.

— Pan jest dzięcioł? — Zadzwonił paznokciem w spodek, naśladując kucie dzioba.

Józio, zdenerwowany jego drwiącym tonem, opowiedział opryskliwe, czym jest na kolei.

— To pan ma rocznie sześć, pięć i zero!

— Pensyi etatowej, ale z dodatkami mam do tysiąca rubli rocznie.

— I my się jeszcze nie znamy? To mnie bardzo dziwi! Przecież ja znam się ze wszystkimi..

— Nie potrzebowałem pieniędzy; dopiero teraz tak mi gwałtownie wypadło, że muszę..

— Pan kawaler?

— Od samego urodzenia! — odpowiedział opryskliwe.

— To wielki feler! Bo co to kawaler? To jest taki puch... a kto jego złapie, jak on sobie poleci?.. Żeby moje wrogi tyle zarobili, co ja już straciłem na kawalerach! A może pan ma bogatą ciocię?

— Nie mam, ale nie mam i długów.

— Za przeproszeniem, ale każdy porządny człowiek powinien mieć dług! Dlaczego on niema mieć długów, kiedy mu każdy pożyczycy. Tylko kapcanom nikt nie da! Pewnie się pan żeni?..

— Ani mi się śni o żeniacze!

— A ja znam śliczną panienkę, w sam raz dla pana! Zdrowa, tłusta, bogata i prawdziwa panienska!

— Nie zawracaj mi pan głowy panienkami! Potrzebuję pięćset rubli!

— Niech mi pan wystawi weksel na sumę, to ja panu zaraz wy-

łożę całe sto rubli... Józio porwał się oburzony.

— Ja żartowałem! Niech pan siada. W interesach niema gniewu! Weźmie pan pięćdziesiąt rubli?

Józio włożył kapelusz i, nieodezwawszy się ani słowa, szedł ku drzwiom.

— Pan się nazywa pan Pełka? Pan jest kasjerem na kolei?—pytał, zastępując mu drogę.

— Więc cóż z tego? Wstrzymał się na chwilę.

— I pan potrzebuje pieniędzy? Całe pięćset rubli? I bardzo pilno?

— Chociażby natychmiast i na każdy procent! Serce zabiło mu gwałtownie.

— Ja panu dam bez procentów!—wyrzekł ze wspaniałomyślnym uśmiechem.—Ale my potrzebujemy trochę się porozumieć!

Odstawił spodek i przysunął mu krzesło.

Józio usiadł, wpatrzył się w niego i czekał z radosnem drżeniem.

— Czy pan wie, że pan Kolankowski, na którego miejsce pan przyszedł, pożyczał mi pieniądze?

— Nie, nawet nie wiedziałem, że był taki zamożny!

— Pożyczał mi kolejowe pieniądze, a ja niemi obracałem!—szepnął, przysiadając się bliżej.—To była bankierska głowa. Ja zarobiłem, on miał dobry procent, nam się dobrze działo i wszystko było cicho, sza, w porządku! Pan mnie rozumie? Wszyscy kasjerzy tak robią! Pan mi się bardzo podoba i jabym z panem robił takie same operacje... Ja pana nauczę, to łatwe...

— To ten sam Kolankowski, który siedział w kryminale? Przypomniał sobie kiedyś zasłyszana historię.

— To nie kryminał, to było prawdziwe nieszczęście! Pan myśli, co jego wsadzili za te pieniądze? Niech Bóg broni. Kasa była w porządku, nie brakowało ani kopiejki! On był taki ambitny, że nie chciał się z nikim dzielić... to zrobili na niego denuncjację i taki gwałt, aż go trochę schowali, ale wyszedł czysty, jak szkło, i teraz służy w kanzarzędztwie.

— Właściwie czego pan chce odemnie? Już ledwie się hamował.

— Chodźmy do drugiego pokoju, to panu szczegółowo wytłumaczę!—Wziął go poufale pod rękę. Ja panu mówię, co interes na sto procent, czyste złoto! Zrobimy cichą spółkę i pan zaraz zobaczy swoje pieniądze. Gotowe? Daj pan rękę na zgodę.

— Mogę panu dać w pysk, parchu jeden!—krzyknął naraz z taką pasją, że Zug odskoczył.

— Złodziej!—syknął jeszcze Józio i wyleciał niezmiernie wzburzony.

Ale w cukierni przy czarnej kawie ochłonął dosyć prędko i pamiętał tylko o jednym, że pieniędzy nie dostał, a wyjechać musi, reszta wywietrzała mu z głowy.

Spóźnił się na obiad, chociaż i tak przyjęli go radośnie, a Soczkowa zawołała:

— Czeka na pana niespodzianka!

Nim odpowiedział, wszedł Raciborski, wyświeżony, elegancki, pachnący, wyczerniony i z protekcyjonalną uprzejmością witał się ze wszystkimi.

— Lokatorzy naszych lokatorów są naszymi lokatorami!—wyrzekł Soczek, nalewając kieliszki.

Józio wiedział, że Raciborski umie się wszędzie wkręcić, więc się też nie zdziwił, lecz tylko ze złośliwym uśmiechem obserwował, jak Soczkowie prześcigali się w uniżonych zabiegach koło niego. Imponował im, bo od pierwszej chwili zaczął nad nimi przewodzić, zachowując się z wielkopańską łaskawością i jakby we własnym domu.

Zgadało się coś o Buczku, i Józio przeczytał głośno jego list.

— Psia twarz, jakby z drukowanego!—wykrzyknął Soczek. A mówili mi na linii, że nie umiał napisać porządnego raportu! Chyba, że mu ten list kto ułożył?

— Umiał pisywać śliczne listy, nawet wierszem!—Uśmiechnęła się bardzo domyślnie.

— Wielka mi sztuka! Miałem pisarczyka na folwarku, który pisywał do mojej kuzynki jeszcze lepsze, zupełnie jakby do druku; ale jakim skurczybykowi wytatarował skórę, to przestał, okradł mnie i uciekł do Ameryki!—opowiadał

ze śmiechem Raciborski. Józio prawie się nie odzywał—i kiedy po obiedzie do czarnej kawy zaczęły zbyt gęsto krążyć kieliszki, wyniósł się cichaczem do mieszkania i poszedł spać.

Raciborski przyszedł dopiero o zmierzchu i w takim humorze, że go rozbudził, i rzucił mu się na szyję.

— Jeszcze raz panu dziękuję za mieszkanie, już sprowadziłem swoje graty! Z dumą wskazał na strzelbę, torbę myśliwską i pudełko do kapelusza, spiętrzone na obwiązanej sznurami, prawiecznej skrzynce powozowej, stojącej pod ścianą.—Ale udali się panu ci Soczkowie, czy jak ich tam wabia. Frontowa baba! bucha od niej, jak z pieca; on głupi, chociaż pocziwy, a jadelko—i owszem! Obiecałem się u nich stołować!

— Prędko się pan zaprzyjaźnił z nimi!

— Bo ja, panie dobrodziejski, nie mam żadnych głupich przesądów; tak samo mi smakuje u tyczka, jak i u szlachcica, jeśli tylko dadzą porządnie i z dobrą podlewą. Nie lubię ceregieli; kto tylko pocziwie zaprasza, to mój brat i kwita.

— Ale uprzedzam, że Soczkowie, co do gotówki, są nieuzyci jak kamienie...

Szlachcic się zachnął, zatargał wąsy, i przywoławszy Magdzię, zaczął się zakwaterowywać w drugim pokoju. Pani Zofia przysłała mu pościel, a potem i męża do pomocy.

Józio się przebrał i postanowił iść na wieczór do zawiadowcy. Wstąpił na dół po zapomniane kalosze i wpadł w rozręsknione ramiona Soczkowej, która mu zaczęła szeptać:

— Przyjdź, będę sama... on jedzie zaraz po dwunastej do Warszawy! Przyjdź, najdroższy... będę czekała... Musisz mnie przeprosić za ten straszny tydzień! Jaka ja byłam nieszczęśliwa! Umierałam z żalu i tęsknoty! Dotknij się... Nie czujesz, jak schudłam? Tylko się nie spóźniaj. Szkoda każdej straconej minuty! Wiesz, ten stary pieczeniarsz przyda się nam za parawan i będzie mi na spacerach zastępował ciebie!

— Żeby mnie tylko nie zastą-

pił we wszystkim! — zauważył uszczypliwie.

Dostał klapsa, pocałunek i znalazł się za drzwiami, bo ktoś schodził po schodach.

Noc już była na świecie, przymrozek wysrebrzył ziemię, księżyc płynął po wysokim, czystym niebie, pociąg sapał na stacyi, a na przejeździe biły sygnałowe dzwonki.

Józio przystawał co chwila, bo jakaś olśniewająca myśl rozrastała się w nim gwałtownie i uporczywie, myśl straszna i zarazem tak nęcąca, że się już przed nią nie wzdrygał, nie usiłował jej stłumić; uśmiechał się tylko do niej, jak do wybawienia...

— Tak, jutro poniedziałek, będą wykupywali węglowe frachty... duże wpływy... duże... ekspedytor chory... muszę go zastąpić na towarowej... — snuł lęklonie, wchodząc do zawiadowcy. Utonął prawie niepostrzeżenie w jakimś kącie, bo zebranie było liczne, gwarne i bardzo rozbawione. Panny i podloty fruwały po mieszkaniu, jak motyle, młodzież podpierała ściany, starsi radzili na środku salonu, damy obiadły fotele i kanapy, jak wrony, iskając się nawzajem z codziennych utrapień, ale pulchna gospodyni dała znak, dzieci wyrzucono i zrobiła się cisza.

Jasna, blada paniienka zaczęła się mocować z fortepianem i z brawurą mordowała Chopina. Potem młoda mężatka o zadartym nosku, szerokich ustach i biodrach, zaśpiewała tęskliwie: „Koteczku, chłopczyku, nie mrugaj oczkami!“ Następnie jakiś student upozował się bohatersko na środku pokoju, rozpiął cztery środkowe guziki munduru, wsparł się rękami o poręcz krzesła, piersi wypiął i potężnym basem huczał „Hagar na pustyni“. Po nim Rudy Dzieciół wypowiedział humorystyczny monolog Junoszy, przyjęty rześnistym brawem, śmiechem i bisami.

A po tak obfitej duchowej strawie pulchna pani zapraszała na skromną przekąskę. Nastrój stał się podniosły, wódeczka krążyła kolejką, śledziki a kawiorek zniknęły, jak marzenie; dziekan się przeżegnał i wszyscy zasiedli, bo już za-

pachniała potrawa z kur z ryżem, po niej nadciągnęła poważna polędwica z garniturem — i uroczysta cisza, pełna tylko mlaskań, szcękunoży i głębokich, sytych westchnień.

Młodzież sączyła piwko, a dla godniejszych znalazła się jedna i druga omszała butelczyna węgierskiego, które z wielkiem namaszczeniem rozlewał sam gospodarz. Naturalnie, było i wyrzucenie dzieci za drzwi, gdyż zbyt natarczywie darły się do lodów; była i heca z pieskami, bo w chwili wznoszenia zdrowia gospodyni, wszyscy naraz zaczęli chrząkać i gwałtownie wycierać nosy; był i wierszowany toast Rudego, trefne dowcipy grubego dozorca i świątobliwe, zatęchłe anegdoty dziekana.

A po kolacyi, kiedy podnoszono się od stołu, gramofon tak na-

miętnie zasyczał Marsylianę, aż pulchna pani zawrzęszczała na męża:

— Jasiu, nie narażaj się! Pamiętaj, że masz żonę i dzieci! I twóźliwie wyglądała na peron. Popisywała się również cała menażerya zawiadowcy, a wreszcie starsi zasiedli do preferansa, matrony znowu obsiadły kanapy, zaś młodzi wśród śmiechów i wrzawy zabawiali się w „chodzi lis koło drogi“, „piecu, piecu proszę cię w kumy“, „w Zakonnicę“ i w drugie również niewinne gry i zabawy wielkopostne.

Tylko Józio nie brał w niczem udziału; siedział milczący, zatopiony w rozmyślaniach — i upatrzysz stosowną chwilę, wyniósł się cichaczem i poszedł spać.

Soczkowa czekała napróżno do rana.

DCN.

Robert Hichens.

Przekład z angielskiego.

## OGRÓD ALLAHA.

51

„Taką była historia tego człowieka, historia, która z niezliczonymi szczegółami, które ci pominałem, z dnia na dzień w uszy moje godziła. Była to historia żądy jednego ciała do drugiego; i nie silił się on zgoła, by mi ją przedstawić, jako coś innego. Człek ten nauczył mnie rozumieć, czym jest ciało i jaka jego waga. Dotychczas nie miałem o tem pojęcia. Nie podejrzewałem zgoła, by rzeczy cielesne tyle znaczyć mogły. Obecnie zrozumiałem. Samotność ruszyła na mnie, chłonęła mnie, — samotność ciała.“

„Tobie, Domini, mogę to powiedzieć, — tobie, którą kocham duszą i ciałem. Przechodzę do końca, do wydarzenia, które ciału mojemu dało ostateczną pobudkę do powstania, do poniechania duszy, do wyruszenia w świat, jak wilk wyrusza na żer.“

„Przeor klasztoru udzielił mi specjalnego pozwolenia na przechadzki z cudzoziemcem poza mury klasztoru w kierunku morza. Pozwolenie to, rozumiesz, stało się epoką w mem życiu. A skutki jego — wiadome.“

„Właśnie mieliśmy wyjść z ogrodu na jedną z tych przechadzek, podczas których dokonywało się w mej duszy wielkie dzieło zniszczenia, gdy chłopiec, posługujący w klasztorze, przybieżał z listem w ręku.“

„— Dla pana — rzekł, podając cudzoziemcowi. — Pozostawiony u bramy.“

„— List do mnie? — rzekł cudzoziemiec.“

„Wyciągnął rękę niedbale i ujął list. Chłopiec zniknął za ścieżką. Wtedy cudzoziemiec spojrzął na kopertę. Domini, żadne słowa nie opiszą tej zmiany, jaką ujrzałem na jego twarzy. To trzeba widzieć. Słowo tu bezsilne. Bładość upiorna zniknęła z jego liców. Fala szkarłatu buchnęła mu na twarz aż do osady włosów. Ręce i całe jego ciało poczęły się trząść gwałtownie. Oczy, które były utkwione w kopertę, zalśniły wyrazem — był to wyraz, jak gdyby podnieta całego świata zamknęła się w tych dwu iskrach. Upuścił laskę i siadł na pniu drzewa, raczej upadł na niego.“

„— Ojciec — wyszeptał, — to list nie z poczty, to list nie z poczty.“

„Nie zrozumiałem go.“

„— Cóż tedy pan sądzisz? — zapytałem.“

„— Co sądzę?..“

„Rumieniec zniknął z jego twarzy. Znów stała się śmiertelnie błada. Podał mi list.“

„— Przeczytaj, ojciec, za mnie! Ja nic nie widzę, nic nie widzę...“

„Wziąłem list. Zakrył twarz rękoma. Otworzyłem kopertę i przeczytałem:“

„Grand Hotel, Tunis.“

Odnalazłam wreszcie, gdzie jesteś. Przyszedłam. Przebac mi, je-

zeli możesz. Chcę cię poślubić — chcę żyć z tobą. Jak chcesz — nie mogę atoli żyć bez ciebie. Wiem o tem, że kobiety nie wpuszczają do klasztoru. Wyjdź na drogę, która wiedzie do Tunisu. Czekam tam. Przyjdź chociaż na chwilę i rozmów się ze mną.

Weronika“.

„Czytałem to, Domini, wolno — i zdało mi się, że czytam mój własny wyrok. Gdym skończył, powstał. Był wciąż blady, jak płótno, drżał cały.

„— Którędy się idzie do drogi? — zapytał. — Czy wie brat?

„— Tak jest — odrzekłem.

„— Niech brat mnie wyprowadzi. Proszę mi podać ramię.

„Wsparł się ciężko na mojem ramieniu. Szliśmy przez gaik ku głównemu traktowi. Musiałem go niemal podtrzymywać. Droga zdała się być długą. Czułem się chory, zmęczony i z trudem powłóczyłem nogi, jak gdybym dźwigał... jak gdybym dźwigał krzyż, za ciężki dla mnie. Wyszliśmy wreszcie z cienia drzew na blask słoneczny. Małe pólko oddzielało nas jeszcze od drogi.

„— Czy jest... czy jest tam pojazd na drodze? — zaszemrał mi z jakąś męką do ucha.

„Spojrzałem poprzez pole i ujrzałem na drodze oczekującą karetę.

„— Tak jest! — odrzekłem.

„Zatrzymałem się i chciałem uwolnić me ramię z pod jego ramienia.

„— Niech pan idzie — rzekłem, — niech pan idzie.

„— Nie mogę! Chodź ze mną, bracie!

„Poszliśmy na blask oślepiający. Idąc, patrzyłem tylko na zeschłą ziemię przed sobą. U stóp moich ujrzałem wreszcie biały pył drogi. W tej samej chwili usłyszałem krzyk kobiety. Cudzoziemiec wyrwał gwałtownie swe ramię z mego ramienia.

„— Żegnaj, bracie! Niech Bóg ci zapłaci!

„Poszedł. Zostałem w miejscu. Po chwili usłyszałem turkot kół. Wtedy podniosłem oczy. Zobaczyłem, Domini, mężczyznę i kobietę razem! Twarze ich jaśniały szczęściem, jak twarze aniołów. Pył uniósł się w słońca potoku. Turkot się rozwił — zostałem sam.

„Tejże nocy zbiegłem z klasztoru. Żądza życia wzięła górę nad poświęceniem życia. Po powrocie do klasztoru nie mogłem już myśleć o niczem innym. Nie mogłem się już modlić: zamiar ucieczki tętnił w mej głowie, zagłuszał wszystkie uczucia i pchał na oślep. Czekaliśmy tylko wieczora. Ucieczka była łatwą dla mnie. Spałem w go-

spodzie, od której miałem klucz. Na noc zostawiłem drzwi niezamknięte. Poszedłem na cmentarz — przechodziłem koło stacyi, ustawionych na drodze — i nie widziałem ich. Na cmentarzu była drabinka, jak to już powiedziałem.

„Przed samą jutrznią przybyłem do domu brata, z tamtej strony Tunisu, niedaleko od Bardo. Zastukałem. Wszedł sam brat, by się dowiedzieć, kto przybywa. Jak rzekłem, był to człowiek bez wiary i nienawistnie traktował moje stanowisko mnicha. Rzekłem mu wszystko bez ogródki. Powiedziałem mu: „Dopomóż mi, bym odszedł stąd. Gdziebądź — byłem był sam“. Dał mi ubranie, pieniądze. Zgoliłem brodę i wasy. Zgoliłem głowę, żeby nie było widać tonsury. Byłem wolny. Wstąpiłem w życie. Nie potrzebuję ci mówić, Domini, gdzie byłem i gdzie się błąkałem, zanim przybyłem do pustyni i spotkałem ciebie. Byłem wolny, atoli wraz z wolnością moją chęć życia zamarała we mnie. Przeląknęłem się życia. Trwoga spadła na mnie. Tak długo byłem mnichem, że nie wiedziałem, jak obcować z ludźmi. Nie żyłem zgoła — dopókim ciebie nie spotkał. Wtedy dopiero pojąłem w pełni, czym może być życie. Walczyłem z sobą, chciałem zwalczyć. Gdy rzucisz myślą wstecz, mniemam, Domini, uprzytomnisz sobie, że chciałem... że starałem się...“

Głos jego złamał się.

„Ostatniego owego dnia w ogrodzie sądziłem, że przemogłem siebie, i wtedy właśnie upadłem na zawsze. Gdym dowiedział się, że mnie kochasz, nie mogłem już dłużej walczyć. Czy rozumiesz mnie, Domini? Widziałas mnie, żyłaś ze mną, przeczułaś moje nieszczęście. Nie myśl atoli, nie myśl, Domini, by od ciebie płynęło ono kiedy. Była niem moja świadomość kłamstwa, kłamstwa przed tobą, przed Bogiem... tego, że wyznać ci nie mogłem... że nie mogłem... rozumiesz...“

Zamilkł. Domini nie rzekła słowa, nie poruszyła się. Nie patrzyła na nią, milczenie jej atoli zdawało się go przestraszać. Odwrócił się od niej przywyczo i zwrócił ku pustyni. Patrzył poprzez rozłogi bezmierne, oblane mdłym światłem księżycy. Domini wciąż była nieruchoma.

— Pójdę sobie! pójdę sobie! — powiedział w rozpacz.

I z temi słowy postąpił naprzód. Wtedy Domini ozwała się:

— Borysie! — rzekła.

Zatrzymał się.

— Co, Domini? — wyrzekł głosem zdławionym.

— Borysie! teraz nareszcie.. możesz się już modlić.

Spojrzał na nią, jak grozą przejęty.

— Modlić się! — wyszeptał. — Mówisz mi, że mogę się modlić już teraz.

— Teraz nareszcie.

Weszła do namiotu i zostawiła go samego. Przez chwilę stał w miejscu. Wiedział, że tam w namiocie ona się modli. Stał, starając się usłyszeć jej modlitwę. I wtedy ręką niepewną sięgnął na piersi. Wyciągnął drewniany krzyż. Pochylił głowę, dotknął go ustami i upadł na kolana w pustyni.

W mieście umilkły muzyki. Nastąpiła wielka cisza.

## XXVII.

Karawana Domini i Androwskiego opuściła Arbę.

Dla Domini pustynia była zawsze wielką i znaczącą osobistością, osobistością, która ją ciągle wzywała do siebie. Obecnie, gdy zwróciła ku niej konia, uczuła, iż nie woła już jej więcej, jak gdyby posłannictwo jej zostało skończone, jak gdyby głos jej wsiąknął w głęboką i bezdźwięczną ciszę. Była ciekawą, czy i Androwski czuje tak samo; nie zapytała go jednak. Lico Androwskiego było blade i surowe. Oczy patrzyły w dal. Ręce jego leżały na szyi konia, jak rzeczy martwe, które nie mają sły ujęcia.

Wraz po zachodzie wjechali do Beni-Mory. Z prawa były drzewa ogrodu hrabiego Anteonięgo. Domini czuła je, lecz nie obejrzała się ku nim. Nie spojrzał na nie również i Androwski. Mieli oczy utkwione wciąż w białą drogę, ciągnącą się w dal. I tylko kiedy przybyli przed wielki hotel, który był obecnie zamknięty i opuszczony, obejrzała się. Nie mogła minąć wieży, nie rzuciwszy na nią spojrzenia. Ujrzała ją jednak teraz poprzez mgłę łzawą, i ręka jej zadrżała na uździe, którą trzymała. Przez chwilę miała uczucie, że złamie się, że nie będzie miała dłużej mocy do niesienia bólu. Lecz oto przybyli ku posagowi kardynała, unoszącego podwójny krzyż ku pustyni, jak oręż. Spojrzała na krzyż i ujrzała na nim Chrystusa.

— Borysie! — wyszeptala — oto Chrystus. Myślmy o Nim jedynie tego wieczoru.

Popatrzał na nią z bacnością.

— Czy pomnisz — rzekła, — na gruncie alei cyprysowej... w El Largani... *Factus obediens usque ad mortem Crucis?*

— Tak jest, Domini.

— Bądźmy i my posłuszni tak samo.

Gdy rzekła to i spojrzała na Androwskiego, uczuł, jak gdyby był przed nią na klęczkach, jak wtedy w ogrodzie, gdy nie miał siły odejść. Uczuł jednak zarazem, iż wtedy, jakkolwiek kochał ją, nie wiedział, co znaczyło kochać ją, co znaczyło kochać wogóle. Ona go nauczyła kochać. Nauka wrażyła się w jego serce, jak miecz i jak balsam. Zdało mu się, że ten sam grot zadał mu cios i uzdrowił go.

Nocy tej, gdy Domini leżała w ustronnym pokoju hotelowym z oknami francuskimi, wychodzącymi na werendę, słyszała zegar kościelny, wdzwanający godziny, i dźwięki odległe obojów afrykańskich na ulicy tancerek, słyszała znowu oba te głosy. Obój był dzioki i podniecający, nie miał już jednak — jak to obecnie zauważyła — dźwięków nieustannego tryumfu. I znowu zabrzmiał dzwon kościelny.

Czy był to dzwon kościoła w Beni-Morze, czy dzwon kaplicy w El-Largani? Czy może był to głos wielkiej religii, do której ona należała, do której wracał Androwski?

Gdy umilkł, wyszeptala do się: „*Factus obediens usque ad mortem Crucis*“. I z temi słowy na ustach zasnęła.

Rankiem, po śniadaniu, Androwski rzekł:

— Domini, teraz pójde.

Powstał i stanął koło niej, patrząc na nią z góry. W twarzy jego była pewna surowość, wyraz stałości.

— Do księdza Roubier'a, Borysie? — rzekła,

— Tak jest. Zanim pójde — czy dasz mi rękę?

Zrozumiała całą mękę ducha, która go trawiła, cały srom, z którym walczył obecnie. Pragnęła gorąco poskoczyć ku niemu, wziąć go w ramiona, pokrzepić, jak tylko może pokrzepić kobieta, która kocha i która jest kochaną, bez słów, uściskiem rąk, uściskiem ust, tętnem serca przy sercu. Nie wyciągnęła atoli ręki ku niemu.

— Borysie! — rzekła. — Idź! Niech Bóg będzie z tobą.

Po chwili dodała:

— I całe moje serce.

On stał czas jakiś, jakby oczekując. Domini nie poruszyła się i wzrokiem go nawet nie tknęła. Głos w duszy jego wołał: „Jeżeli nie dotknie cię teraz, nie dotknie cię już nigdy w życiu“. I czekał.

— Borysie — szepnęła, — żegnaj!

— Żegnaj? — rzekł.

— Przyjdź do mnie... potem. Przyjdź do ogrodu. Będę tam, gdzieśmy... będę tam czekała na ciebie.

Odszedł, nie rzekłszy już nic więcej.

Gdy oddalił się, przeszła szybko na werendę i patrzyła poprzez balustradę. Zobaczyła, jak wyszedł z pod arkady i szedł wolno drogą ku małym wrotom ogrodu przed domem księdza. Gdy podniósł rękę, by otworzyć furtkę, rozległo się szczenie i zobaczyła Bu-Bu, jak wyskoczył ze srogą zajadłością stróża, która wraz się zmieniła w radosne powitanie, gdy poznał starego znajomego. Androwski pochylił się, wziął pieska na ręce i niosąc go, szedł ku drzwiom domu. Drzwi się otworzyły i wszedł w nie. Wtedy Domini udała się do ogrodu, unikając ulic miejskich i, idąc bocznymi ścieżkami, które dotykały pustyni. Szła prędko. Pragnęła być jak najprędzej z cieniami ogrodu, poza białym murem. Gdy szła, nie czuła wiele, nie myślała wiele. Nie patrzyła dokoła, nie widziała blasku słońca, rozlanego na pustyni, ani murów Beni-Mory, ani drzew palmowych. Dopiero gdy minęła hotel i wioskę murzyńską i zwróciła się na lewo, na szlak, na skraju którego stała willa hrabiego Anteonego, podniosła oczy z ziemi. Zatrzymały się one na białym łuku, ujmującym w ramę pyszny błękit bezchmurnego nieba. Przystanęła chwilę.

Przez chwilę zaznała uczucia niewysłownej rozpacz, w której wszystko zdało się rozpylać na atomy i znikać z jej oczu. Stała, drżąc, jak w ciemności. Stała całkowicie osamotniona, tak osamotniona, jak żadna ludzka istota, zda się, na tym świecie. Świat cały śmił się przed jej oczyma.

Usłyszawszy stukanie do wrót ogrodu, Smain rozprężył się z wolna na macie wewnątrz namiotu, powstał leniwie, bez róży, i powlókł się sennie, by otworzyć przybyszowi.

Nazewnątrz stała Domini. Gdy ujrzała ją, uśmiechnął się spokojnie, nie okazując zdziwienia.

— Pani powróciła?

Domini uśmiechnęła mu się, lecz wargi jej drżały i nic nie odpowiedziała.

Szła wolno placem, wymiecionym z piasku, ku drzewom, i wkrótce została przez ciemność ich zagarnięta. I znowu usłyszała szmer wodospadu ukrytego, i znowu objęła ją tajemnica tego Raju pustyni — atoli szepty jego nie wieściły już jej pokoju.

Stąpając ku najgłębszym ustrojom ogrodu krętymi ścieżkami pomiędzy strumieniami, nie miała już wrażenia, że jest blisko ukrytej siedziby Geniusza ogrodu. Tylko wszystkie jej dawne czucia powró-

ciły z ostrością. Ani jedno nie chybiło pamięci. Powracały, jak widnia, skradające się poprzez piaski. Czaiły się, jak mary, z poza drzew gęstwiny. Z każdym krokiem urastał ból w jej sercu. Weszła nareszcie w ciemność głębszą na białym piasku i ujrzała rozsypane u stóp igły sosnowe. Stała wtedy, nasłuchując odruchowo urocznego dźwięku, który miał dopełnić czarodziejstwa ogrodu i jej własnej rozpacz. Czekala tego dźwięku. Czuła nawet dziwnie, iż pragnie, iż jest on zgoła niezbędnym — ten dźwięk fletu Larbiego, wyśpiewującego tęsknotę miłosną. Flet atoli dzisiaj milczał zblakany.

Postąpiła dalej i przysła ku palarni. Weszła do środka i usiadła. Tu zamierzyła czekać na Androwskiego. Siedziała i modliła się o moc w walce z życiem, które już nie będzie dla niej niczem innym, prócz walką.

Siedziała tu długo, straciwszy pamięć miejsca i czasu. Coś wreszcie rzekło jej, by spojrzała przez otwór okienny na ogród. Nie słyszała kroków, wiedziała jednak, że to Androwski się zbliża, i gdy podniosła oczy, była przygotowaną na widok, który byłby strasznym. Przypomniała sobie jego twarz, jak przyszedł żegnać ją tu, w ogrodzie, i bała się obecnie, by twarzy tej nie ujrzała. Wyszkoliła się już atoli, by być silną, dla siebie i dla niego.

Był on blisko niej na ścieżce, wiodącej do palarni. Gdy zobaczyła go, wydała lekki okrzyk i powstała. Ogarnął ją dziwny wielki w sprzymierzeniu na chwilę z niezmierną radością — radością najwyższą, jakiej kiedy w mniemaniu swem doświadczyła. Zobaczyła bowiem twarz, na której po raz pierwszy załśniła zorza blada pokoju.

Androwski zbliżył się ku drzwiom palarni, nie podnosząc oczu, stanął cicho — w tem samym właśnie miejscu, na którym stał hrabia Anteoni podczas pierwszej rozmowy z Domini, i rzekł:

— Domini, byłem u księdza. Wypowiadałem mu się.

— Tak — rzekła. — Tak. Borysie!

Wszedł do środka i siadł w pobliżu, lecz nie obok niej, na jednej z kanapek. Wyraz smutku znów się pogłębił na jego twarzy i pokój na niej zamierał.

— Domini — rzekł, spojrzawszy na nią. — wiesz resztę. Wiesz, iż jest, jak ma być, jak miało być, gdyśmy opuszczali Amare.

— Czyż jest inna droga? Czyż możebnym jest inne życie — dla mnie... dla ciebie?

— Dla ciebie! — rzekł, i w gło-

WARSZAWA, Długa 50 (Pasaz Simonsa), I-sze piętro, wprost Białostkiej, tel. 142-71.

GELBFISZ I JABLONSKI

Skład tiulu, wstążek, koronek i pasmanterii

poleca wszelkie nowości sezonowe. Ceny stałe hurtowe.

sie jego był dźwięk niemal rozpaczy.—Lecz czem będzie twe życie? Nie oślaniałem cię nigdy—tyś mnie oślaniała. Nigdy nie byłem silnym dla ciebie—ty byłaś silną dla mnie Lecz porzucić cię, Domini, pozostawić jedną.. mam że to uczynić? Mam myśleć o tobie — samotnej i opuszczonej?

Przez chwilę miała zamiar przelać milczenie, rzec mu prawdę, że, być może, nie będzie samą, że inne życie, z niej i z niego poczęte, powstało już w niej, by być z nią, by dzielić wielką samotność, która się przed nią rozściela. Zwalczyła jednak pokusę i rzekła jedynie:

— Nie myśl o mnie, Borysie.

Przez chwilę patrzeli na siebie w milczeniu. Potem dodała:

— Tak będzie łatwiej dla ciebie, szczęśliwiej.

Androwski wsparł prawą rękę na kanapie i obrócił się ku niej, aż był cały naprzeciw niej. Oczy jego zaślniły.

— Domini — rzekł, — mówisz prawdę—i ja ci chcę rzec prawdę. Aż póki życia mego, będę myślał o tobie—co dnia, co godziny. Gdyby nawet była grzechem śmiertelnym myśl o tobie, popełniłbym go—tak jest, Domini, popełniłbym go rozmyślnie i świadomie. Lecz Bóg, mniemam, nie będzie tyle żądał ode mnie. Nie będzie żądał. Wyspowiadałem się, Domini. Wiem, co mam czynić. Uczynię to. Masz słuszność... masz zawsze słuszność... kierowałaś mną... wiem o tem Myśleć atoli o tobie będę. I jeszcze chcę ci coś powiedzieć—nie wdrażaj mi tego—jest to bowiem prawdą, prawdą mej duszy, a ty kochasz prawdę, Domini.

DCN.

## Wiadomości literackie.

### Polonica.

× W Epinalu w Lotaryngii, wygłosił odczyt o Polsce porucznik Leon Bernardin, który od dawna już zajmuje się naszymi sprawami. Urządza odczyty, przeważnie dla oficerów i żołnierzy, informuje w pismach miejscowych o tem, co się w Polsce dzieje, w wydawnictwach literackich i historycznych—jak np. w niedawno założonym kwartalniku p. t. *Marches de l'Est*—opowiada naszą przeszłość historyczną i kulturalną. W ostatnim odczycie swoim, który się odbył pod protektoratem miejscowego Towarzystwa Geograficznego, p. Bernardin wykazywał analogię losów swojej ojczyzny — Lotaryngii — z losami Polski. „Pobici—mówił—polacy wszędzie bronili sprawy wolności, w Ameryce, we Francji; nawet w r. 1794-tym rozruchy polskie umożliwiły powodzenie rewolucji nad Renem”. Dalej mówił prelegent o sprawach polskich w trzech dzielnicach, o prawach wyjątkowych, o ciężkiej walce, jaką polacy z temi prawami staczają, o żywotności, jakiej w tej walce składają dowody. Słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła!” zakończył p. Bernardin swój wykład, którego słuchała z zajęciem licznie zgromadzona publiczność. Odczyt ilustrowany był widokami z Polski, których użyły do latarni magicznej galicyjskie Towarzystwo Szkoły Ludowej.

### Z literatury angielskiej.

× *H. G. Wells*. „*Ann Veronica*”. Z fantastycznych krain przyszłości, z księżycą i z Marsa zestąpił tym razem Wells na ziemię, by napisać „dzieje nowoczesnej miłości”, i kreśli historię kobiety, dążącej do zupełnego wyzwolenia. Anna Weronika ucieka z domu rodzicielskiego, pragnie działać i studyować. Gdziekolwiek jednak się zwraca, mężczyzna stoi na jej drodze. Chce pójść na bal kostiumowy i kształcić się dalej — przeszkadza jej ojciec. Chce pracować spokojnie nad ukochaną biologią i wyobraża sobie, że p. Ramage, który był dla niej taki przyjacielski i pożyczyl jej pieniądze, dopomoże jej w tem przedsięwzięciu, — tymczasem w tym mniemanym przyjacielu znajduje tylko wielbiciela, domagającego się zapłaty za okazaną życzliwość. Zawiedziona, poruszona do głębi, szuka zapomnienia w odmęcie agitacji na rzecz sufrażetek i tu spotyka na drodze

swojej policyantów, urzędników i dozorców więziennych. Powraca do domu i tu znów staje na jej drodze p. Manning ze swoim nudnym, teatralnym przywiązaniem. Zaręcza się z nim, ale i ta kapitulacja nie pomaga, gdyż wchodzi jej znów w drogę p. Capes. I w nim nareszcie znalazła czego pragnęła — człowieka, którego droga może być i jej drogą.

Rzecz pisana żywo, zajmująco; typ Anny Weroniki — choć nie nowy — skreślony trafnie, energicznymi rysami.

### Z literatury niemieckiej.

× *Gustaw Frenssen*. „*Klaus Hinrich Baas*”. Mistrz w skreślaniu chłopca, jego przebiegłej prostoty i energii życiowej, Frenssen gubi się jeszcze, gdy wejdzie w wir wielkomiejski. A do Hamburga przeniósł bohatera nowej powieści swojej, od którego imienia zapożyczył dla niej tytuł. Klaus Hinrich Baas pochodzi ze starej rodziny chłopów holtsztyńskich; od dzieciństwa pracuje na siebie, dostaje się w Hamburgu do wielkiego domu eksportowego; tu wykazuje duże uzdolnienie kupieckie, odbywa podróże do Indyi i, po ciężkich przejściach natury miłosnej, zdobywa stanowisko wśród kupiectwa hamburskiego. Epizody, rozgrywające się na wsi i w małym miasteczku, powiodły się autorowi lepiej, niż obrazy wielkomiejskie. Oprócz bohatera głównego dał Frenssen jeszcze kilka epizodycznych, świetnie skreślonych postaci. Naogół ta jego ostatnia powieść stoi niżej od poprzednich („*Jörn Uhl*” i „*Hilfeligkeit*”), którym rozgłos swój zawdzięcza.

### TREŚĆ NUMERU 51-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski*.  
 Marzyciel. *Władysław St. Reymont*.  
 Ogród Allaha. *Robert Hichens*.  
 Wiadomości literackie.

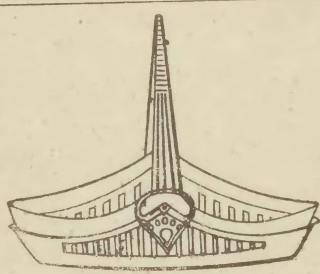
PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:  
 Aleja Jerozolimska, № 49.

Redaktor i wydawca „Romansu i Powieści“:  
 JÓZEF JANKOWSKI.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza № 8.

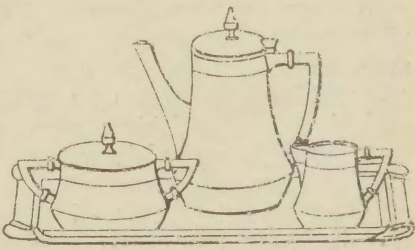
Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.



**A. JASKULSKI,**  
 Warszawa, Wierzbowa № 1.

Wyprzedaż towarów dawniejszych z ustępstwem znacznym od cen stałych.

Skład główny i wyłączna sprzedaż wyrobów platerowanych Akc. Tow. R. Plewkiewicz i S-ka.  
 poleca wielki wybór najnowszych modeli w sztuccach i nakryciach stołów. platerowanych. Wyroby ze srebra, brązu, cennego marmuru, niklowane. Naczynia kuchenne Bernsdorfskie z czystego niklu.



**Wyprzedaż** DOROCZNA, W GRUDNIU  
 w Fabr. Składzie Krajowych Dywanów p.f. **R. SZCZERBIŃSKI**  
 Marszałkowska 114.

**NA BALACH,**  
 zebraniach klubowych i towarzyskich, jak również w zakładach naukowych w Warszawie i na prowincji urządzam przedstawienia kinematograficzne z własnymi aparatami i obrazami.  
**I. FELDBLUM,**  
 WARSZAWA, ORLA № 11



NAJLEPSZE DO MYCIA SĄ  
**MYDŁA**  
 Przetłuszczone higieniczne  
 delikatniają skórę i chronią ją od wpływu temperatury  
 wyrobu Apteki M. Malinowskiego  
 Nowy-Swiat 35 w Warszawie.

SKŁADY SUKNA I KORTÓW  
**Leona Messinga**  
 w Warszawie, Miodowa 7, Marszałkowska 140  
 polecają modne materyały krajowe i angielskie w wyborowych gatunkach. Najdogodniejsze źródło zakupu.